

Rostworowski, Stefan Marian

Wspomnienia z Mikaszewicz : od redakcji

Przegląd Historyczny 83/2, 325-343

1992

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

STEFAN MARIAN ROSTWOROWSKI

Wspomnienia z Mikaszewicz

OD REDAKCJI

Autor niniejszego opowiadania, Stefan Marian Rostworowski (1907—1981) doczekał się niedawno zyciorysu w Polskim Słowniku Biograficznym (t. XXXII, s. 238—240). Urodzony w Krakowie, chodził do szkół w Lublinie, ukończył Wyższą Szkołę Handlową w Antwerpii, a po odbyciu służby wojskowej podjął pracę w Polskiej Agencji Eksportu Drzewnego (Paged). W zakładach firmy „Agahell” i „Olza” w Mikaszewicach na Polesiu czynny był jako zastępca dyrektora niespełna dwa lata, do chwili wybuchu wojny 1939 roku.

Odbył kampanię wrześniową, pod okupacją pracował w administracji leśnej Ordynacji Zamojskiej, współdziałał z AK, kilka miesięcy przesiedział w więzieniu za gospodarczy sabotaż. W latach 1945—1946 czynny był w tajnej organizacji WiN (Wolność i Niepodległość). Emigrował, osiadł zrazu w Brukseli, potem we Francji. Pracował zawsze w leśnictwie. Ożenił się po wojnie, dzieci nie pozostawił. Zmarł w Paryżu.

Główne jego zainteresowanie pisarskie stanowiła heraldyka i genealogia, mianowicie dzieje rodziny Rostworowskich, którym poświęcił obszernie opracowanie, dotąd w maszynopisie. Kreślił też oddzielne fragmenty wspomnień; jedno z nich otrzymała Redakcja z ofertą ogłoszenia od bratanka i spadkobiercy zmarłego, Stanisława Jana Rostworowskiego.

Wspomnienie dotyczy lat 1937—1939, gdy to autor, młody podówczas człowiek, objął odpowiedzialne stanowisko w dużej fabryce sklejki, będącej własnością kapitału zagranicznego, na Polesiu, tuż nad granicą sowiecką. W grę wchodzi trzy odrębne teksty. Jeden jest osobistym, bardzo żywo skreślonym wspomnieniem. Drugi zawiera ekskurs poświęcony „rozwiązaniom socjalnym w Zakładach Mikaszewickich”. Trzeci zawiera opis techniczny funkcjonowania fabryki i ten nie leży w profilu naszego czasopisma; zgodziła się go opublikować Redakcja „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki”.

W retrospektywnym wspomnieniu fachowego leśnika-emigranta przedwojennych kilkanaście miesięcy spędzonych na rubieży Rzeczypospolitej, na eksponowanym stanowisku, w warunkach niemalże kolonialnego komfortu — stanowiło epizod szczególnie pociągający, czas silnych przeżyć i osobistych osiągnięć, z których mógł czuć się dumnym. Nic dziwnego, że Rostworowski opowiada o tej swojej pracy z entuzjazmem, którego miarę dają liczne wykrzykniki — oraz ze zrozumiałą dozą sa-

mochwalstwa. Ocenę ścisłości opisywanych faktów — w szczególności polityki socjalnej firmy „Olza” — pozostawiamy krytycznej ocenie fachowych czytelników. Sądzymy jednak, że również niefachowca zaciekawki opowiadanie to o mało znanym wycinku życia obyczajowo-towarzyskiego, na wschodnich kresach II Rzeczypospolitej.

Redakcja nie ingerowała w tekst, poza minimalnym retuszem stylistycznym.

Stefan Kieniewicz

Fabryka w Mikaszewiczach

W początkach 1938 roku podpisałem kontrakt z Belgami na objęcie stanowiska generalnego dyrektora „Olzy” i „Agahellu” — dwóch spółek akcyjnych mających dwa obszary własne na Polesiu i ogromną fabrykę dykt w Mikaszewiczach. Obie te spółki były „siostrzane” i podział między nimi był jedynie spowodowany prawnymi przepisami polskimi: „Olza” była spółką przemysłu drzewnego; jej własnością była fabryka dykt „Olza” w Mikaszewiczach, dwa tartaki, fabryka parkietów, fabryka brykietów (specjalne cegły z pyłu drzewnego i gliny szamotowej) — oraz cały system transportu kolejowego, kolejki własne (27 kilometrów).

„Agahell” była spółką jako właściciel majątków Mikaszewice i Czuczewice o łącznej przestrzeni 110 000 ha. W skład tych szalonych przestrzeni wchodziły pasy zagospodarowane na przestrzeni leśnej 70 000 ha, dwa folwarki (Grabów i Wolica po 300 ha) oraz około 40 000 ha łąk nadprypeckich, jezior i bagien. Ich gros było częścią Bagna Hryczyn, którego większość była własnością państwa (sam Hryczyn miał 85 000 ha i leżał na północ od Prypeci. Na południe od niej Bagno Hało leżało już w obrębie Ordynacji Dawidgródeckiej). Spółka ta prowadziła: 1. gospodarstwo leśne (eksploatacja, zalesianie, kultury leśne) podzielone na 11 nadleśnictw; 2. gospodarstwo łąkowe — osobny administrator, gdyż z około 20 000 ha kośnych łąk wpływy były bardzo poważne; 3. gospodarstwo rolne — osobny administrator — dwa folwarki odległe od siebie o 40 km — ale dostarczające wszystkie swe plody do Mikaszewicz na potrzeby fabryki i osady robotniczej; 4. administrację kanałów — „Agahell” miał 750 km własnej sieci kanałów — ponad 40 śluz — utrzymanie tego i organizacja spławu drzewa wymagała bardzo sprężystej dyrekcji i nadzoru technicznego; 5. administrację „przemysłu leśnego” — 24 smolarnie — węgiel drzewny, terpentyna.

Siedziba zarządu głównego obu spółek była w Mikaszewiczach — ostatniej stacji granicznej na linii Pińsk—Hemel, o 3 km od granicy rosyjskiej, o 12 km na północ od Prypeci. Dobra „Agahellu” graniczyły na południu na przestrzeni 21 kilometrów z Ordynacją Dawidgródecką — Prypeć stanowiła granicę — i sięgały na północ, granicząc koło Ludwikowa z Ordynacją Nieświeską. Stąd jako dwóch „sąsiadów” miałem swych dwóch wujków: X. Leona i X. Karola Radziwiłłów.

W Warszawie było biuro obu spółek, głównie ze względu na wszystkie sprawy do załatwienia w ministerstwach w związku z eksportem, podatkami itp. — a siedziba główna właścicieli tych spółek była w Antwerpii w Belgii, gdzie „Compagnie d’Ahaus” miała w ręku większość akcji (95%) „Olzy” i „Agahellu”.

Kontrakt podpisałem w Warszawie po uprzednich rozmowach z generalnym dyrektorem w Mikaszewiczach p. Samuelem Gombergiem. Tu naszkicować muszę jego postać — jest to człowiek, dla którego do końca życia zachowam najwdzięczniejszą pamięć i najwyższy szacunek. Każdy dzień pracy z nim spędzony był dla

mnie niepomiernej wagi! Tyle jemu zawdzięczam, że wspomnienie o nim jest mi jednym z najmilszych!

Samuel Gomberg! Żyd — i to z Kijowa! Zewnętrznie taki typ żydowski, że nikt omylić się nie mógł — ale typ „suchego Żyda” — szczupły, o wybitnym, spuszczonej nosie, uszy odstające jak u słonia afrykańskiego, wzrok niezmiernie mądry, przenikliwy, ale dobry. Podobny był do ministra Becka, tylko niższy. Mówił biegle po polsku, rosyjsku, niemiecku, angielsku, francusku — wszystkie języki bardzo dobrze opanowane — ale wszystkie bez wyjątku z fatalnym akcentem. Sam był inżynierem-mechanikiem-konstrukтором. Był jednym z najlepszych fachowców technologii drzewnej w Europie, a nawet na świecie. W największym stopniu miał zdolności administracyjne — a przy swych zdolnościach świetnie rozumiał inne dziedziny, jak leśnictwo, rolnictwo, łąkarstwo itp. Nadzwyczajny pedagog — i to z zamiłowaniem. Sam był wychrzczony i był protestantem. Znał jednak wszystkie filozofie i był ogromnym zwolennikiem św. Augustyna i św. Tomasza. Dyskusje, jakie prowadził z Tomkiem — jezuitą, moim bratem — były na najwyższym poziomie. Tomek miał wrażenie, że ten człowiek nawróci się na katolicyzm z przekonania — a nie robi tego jedynie, by nie wyglądało to na karierowiczowskie zmienianie wiary. Sam rozumiał najwyższą wagę katolicyzmu na kresach i wymógł na Belgach ufundowanie trzech kościołów (Lenino, Mikaszewicze i Sienkiewicze) fundując z własnej kieszeni ołtarz główny w Mikaszewiczach ze śliczną rzeźbą Matki Boskiej. Biskup piński Bukrabe tak go wysoko cenił, że co roku przyjeżdżał na dwa tygodnie urlopu do Mikaszewicz do p. Gomberga. Sam słyszałem, gdy biskup mówił: „Kochany dyrektorze, gdyby Pan był katolikiem, to już dawno bym mógł Panu przypiąć *Pro Ecclesia et Pontifice*”!

Gomberg żonaty był z Ormianką polską — emigrantką z Turkiestanu, mahometanką, która również przeszła na protestantyzm. Do postaci Gomberga powracać jeszcze będę. Gomberg był moim przełożonym bezpośrednim. W myśl kontraktu miałem zostać jego zastępcą i następcą nad całością interesów w Mikaszewiczach. On bowiem zamierzał po dwóch latach rozbudować dalej przedsiębiorstwa i raczej przenieść się na stałe do Warszawy. Taka była myśl główna. Wobec niezmiernie szerokich dziedzin i zainteresowań, jakie miałem objąć, zastosował Gomberg do mnie system dziwny, niesłychanie ciekawy i bardzo pedagogiczny.

Do czego mu byłem potrzebny?

Z całą swoją wnikliwą inteligencją Gomberg zdawał sobie sprawę, że wobec tego, że całość interesów skupiona była na terenach granicznych, zająbiała się ciągle z KOP-em, ze sprawami granicznymi, z wojskiem i że jego postać, jako Żyda, utrudnia normalny bieg spraw! Potrzebował więc następcy i zastępcy, który by odpowiadał warunkom:

— był człowiekiem o szerokim ujęciu interesów europejskich, a nawet światowych ze względu na olbrzymi eksport dykt na cały świat,

— był człowiekiem „zachodnim”, z językami, z obyciem, by miał do czynienia uprzednio z drzewem, z lasami, z administracją,

— był dobrze widziany przez sferę wojskową, Główny Inspektorat Sił Zbrojnych, a przez to by mógł mieć zaufanie tych władz, tak by współpraca wychodziła na dobre stronom,

— był człowiekiem niezależnym od reżimu sanacyjnego i nie był karierowiczem reżimowym.

Tym warunkom odpowiadałem i uzyskałem pełne poparcie przez Główny Inspektorat Sił Zbrojnych i KOP.

Mankamentem, z którego ja sobie zdawałem sprawę było, że byłem hrabią! — no ale trudno!

Z początku Gomberg postawił mi warunki następujące: Miesiąc będę w biurach w Warszawie z prawem wglądu na wszystkie akta, by zapoznać się z biegiem spraw centralnych. Nikt nie może wiedzieć w biurze, na jakie stanowisko jestem przewidziany — poza jedynym prokurentem p. Dawidowskim — który kontrakt schował do aktów (człowiek bardzo dyskretny). Po miesiącu mam przyjechać do Mikaszewicz i tam również nikt nie ma wiedzieć, jakie stanowisko obejmę. Do stanę dyrektywy na miejscu.

Wysłałem rzeczy moje (meble) wagonem z Katowic do Mikaszewicz i po miesiącu pobytu w Warszawie przyjechałem z Metkiem (moim służącym) i Rockiem (moim pieskiem ostrowłosym foksterierem) do Mikaszewicz. Mikaszewicze była to osada wyłącznie niemal „Olzy” i „Agahellu”. Ogromna fabryka dykt na przestrzeni 80 ha — gmach zarządu dóbr — domy: dyrektora, urzędnicze, spółdzielni, bardzo duże rozbudowane osiedle robotnicze z kilkoma dzielnicami, wspaniała szkoła (własność fabryki), kościół, piękny dom ludowy (własność fabryki) z kinem dźwiękowym.

W ośrodku takim oczywiście wszyscy się znają, wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. I w to środowisko zjeżdża ktoś nowy, kawaler ze służącym, z meblami i dostaje „służbowy przydział na mieszkanie 3-pokojowe” (zresztą ze wszystkimi wygodami, łazienką, elektrycznością, opałem). Czułem, że wiadomość podziałała jak „kij w mrowisko”. Dyrektor zapowiedział, że w ramach umówionej pensji (1000 zł miesięcznie) mogę w każdej chwili podejmować z kasy ile mi będzie potrzeba — kasa zaś dostała polecenie wypłacania panu R. ile on zażąda! To już było dla wszystkich „tajemnicze”! Mnie zaś obligowano, by brać jak najmniej pieniędzy, by nie „dekonspirować” wysokości pensji, by inni nie domyślali się, jakimu stanowisku to odpowiada. Dyrektor wydał zarządzenie, że mam „na fabrykę” wstęp wolny w każdej chwili — co wobec przepisów bardzo ostrych było od razu przyjęte jako „specjalna misja”. Przepisy o wchodzeniu na teren fabryczny były bardzo ostre ze względu na pas graniczny, możliwości sabotażu i wymagania KOP. Pierwszy miesiąc dostałem polecenie: „chodzić wszędzie i przyglądać się — zwłaszcza pracy na placach fabrycznych” — żadnych godzin, żadnych ograniczeń — „jak Panu wypadnie”! Patrzyłem, chodziłem, uczyłem się, asystowałem dyrektorowi. Po miesiącu dyrektor mi mówi: „Panie Stefanie, rzucać Pana będę na głębokie fale, niech pan sam płynie! Jutro obejmie pan pracę kierownika zmiany na miejsce idącego na urlop inżyniera!” — Od „nazajutrz” — objąłem tę odpowiedzialną pracę — fabryka szła na pełne trzy zmiany. Tydzień miałem zmianę pierwszą (od 6 rano do 2 po południu) — następny tydzień II zmianę (od 2 po południu do 10 wieczór) — następny tydzień III zmianę (od 10 wieczór do 6 rano). Fabryka zatrudniała 160 robotników: 60 — I zmiana; 60 — druga i 40 trzecia. Nad całością produkcji czuwał „kierownik zmianowy” — a jednym z nich byłem teraz ja.

Pracę tę prowadziłem dwa miesiące — a dyrektor przyglądał mi się. Ludzie przyzwyczaili się, że będę pracownikiem w dyrekcji fabryki! Nagle nowa decyzja: „Od jutra Pan zaznajamiać się będzie z całą pocztą eksportową w biurze głównym. Nie przerywając zainteresowania fabryką”. Był to dział, który z wykształcenia i praktyki długoletniej w Gdyni i Gdańsku znałem. Przez miesiące łatwo się przyzwyczaiłem i opanowałem wszystkie kontakty i korespondencję ze światem, po francusku, angielsku i niemiecku.

Wzywa mnie dyrektor i mówi: „Już tak dalek w tajemnicy iść nie może, bo musi pan być zafiksowany oficjalnie! Od jutra zostanie pan inspektorem eksploatacji leśnych i pobory pana będą już jawne. Proponuję panu podwyżkę do 1200 złotych”. Nowy kij w mrowisko! Już się przyzwyczaili wszyscy inżynierowie, urzędnicy, że będę „na fabryce” — potem okazało się, że w „biurze głównym”

— ale wszystko w „Olzach”. Teraz gruchnęła wieść, że pensja moja będzie na rachunek „Agahellu” i że będę miał pod sobą eksploatacje leśne! Wszystko zadrzało! I taka pensja! — Nazajutrz ukazał się „dekret” dyrektora o tym — ja dostałem do dyspozycji samochód (Ford 8V — 1938 — torpedo i szofera — nieocenionego Litwina pana Harytanowicza) oraz dom przysługujący randze vice-dyrektora. Tegoż dnia Metek zaczął przenosić się — ja zaś z dyrektorem wyjechałem w objazd lasów i dóbr. Objazdy te zabrały 10 dni, robiąc po 200 km dziennie samochodem i końmi po nadleśnictwach, gdzie wszędzie poznawałem cały personel leśny. W „wolnym czasie” musiałem zapoznawać się z planami leśnymi, eksploatacją, warunkami pracy, płacy, transportem itp. — i to nie przerywając ciągłego sledzenia fabryki, codziennego wglądu w korespondencję eksportową!

Nadchodził październik i początek eksploatacji leśnej zimowej. Październik, listopad, grudzień — dzień w dzień jeździłem samochodem po ciecicach, odległych czasem o 120 km od Mikaszewicz. Z całym zamięłowaniem do porządku, musiałem wszystko sobie notować, uczyć się, pilnować i wydawać dyspozycje, pilnując bacznie, by wyrabiać sobie odpowiedni autorytet. A dyrektor patrzył na mnie i mnie obserwował! Co parę tygodni brał swój samochód i ze mną wyjeżdżał „w teren”.

Na Boże Narodzenie 1938 przyjechała do mnie Mama, Tomek i Jurek. Zaraz po świętach dyrektor, wracając ze mną z lasów, mi mówi: „Panie Stefanie! Od 6 stycznia do 16 będzie okres polowań. Proszę przygotować plany polowań. Będą dwaj Belgowie, poseł belgijski z Warszawy, gen. Sosnkowski, gen. Fabrycy, starosta itp. Czy ma pan broń?”. Odpowiedziałem: „Panie Dyrektorze! plany przygotowuję, ale nie chciałbym brać osobiście udziału w polowaniach!” — „Dlaczego?” — dyrektor się szczerze zdziwił. — „Gdyż nie chcę, by powiedziano, że — przyjechał hrabia na posadę i zabawia się polowaniami, biorąc wysoką pensję”. — „Panie Stefanie! Doceniam Pana stanowisko — ale jest to bezwarunkowy Pana obowiązek służbowy. Musi Pan poznać lasy, to jedna z najlepszych okazji, poznać personel, nadleśniczych, leśniczych, gajowych (było ich 267!), chłopów w nagonkach, musi pan poznać gości, którzy w części są władzą, i dać się im poznać. Okazja to najlepsza i jest to Pana obowiązkiem!”. Oczywiście, takie postawienie sprawy niezmiernie mi było miłe. Z całą pasją więc przez 10 dni przygotowywałem plan polowań w naradach z nadleśniczymi i leśniczymi. A potem jako współgospodarz podejmowałem gości. Mamusia była mi nieodzowną pomocą w domu odgrywając rolę pani domu, a jeden Belg, starosta i pułkownik KOP-u u mnie mieszkali.

Polowania cudne — nie chwając się, dobrze zorganizowane — padło wówczas w 10 dni 57 dzików, 8 rysiów, 11 wilków, 11 lisów, kilka zajęcy (tych było u nas bardzo mało), 1 kozioł (rogacz). — Poznałem lasy przepastne i to cudne Polesie! Eksploatacja szła dalej. W lutym dyrektor zlecił mi wyjazd do Warszawy na 10 dni (ostatki, karnawał) — wyjazd służbowy do naszych biur w Warszawie. Koszty pobytu w Warszawie miałem w pełni zwrócone.

Nadchodziła wiosna! Eksploatacje leśne się kończyły, zwózki drzew na bindugi (składy na brzegu rzek lub kanałów) dobiegały końca. Trzeba było szykować się do roztopów, do ruszenia lodów i organizacji spławu 240 000 m³ kłoców i opału! Dyrektor polecił mi opracowanie planu spławu! Jedną z najciekawszych prac, która mnie pasjonowała! Ułożyć trzeba było plan wiązania i kolejności spuszczenia tratw, ich spław i zmagazynowanie w ogromnych składach wodnych w Mikaszewiczach i to tak, by magazynowanie było w czterech warstwach tratw, w dostosowaniu do późniejszej kolejności spożycia surowca przez fabrykę! A więc trzeba było wziąć pod uwagę: zapotrzebowanie i gatunki dykt potrzebnych kiedy? i w jakich terminach? na dostawę do Argentyny, Anglii, Szwajcarii, Indii czy

Australii — kiedy te dykty będą fabrykowane, kiedy surowiec i jaki będzie potrzebny?

Inna łamigłówka: którymi kanałami, co pierwsze ma dojść, jak służy przepuszczać? jak gospodarować запасami wody wiosennej? W połowie marca lody puściły. Dzień i noc byłem w terenie przez dwa tygodnie, nocując po gajówkach i leśniczówkach, by dozorować spław i ruch tratw po całej sieci kanałów (750 kilometrów). Poczucie dyrygowania tym wszystkim było niezmiernie miłe! To mój żywioł: mieć rękę na pulsie, patrzeć, jak własne plany wychodzą, czy wszystkie obliczenia „grają”. Już autorytet miałem tak urobiony, że organizacja mego transportu była doskonała. W momencie roztopów bowiem ograniczona była możliwość ruszania się samochodem, ale wszędzie na telefoniczne zlecenie były konie zastawne, łądki, dojazdy, tak że doskoczyć mogłem wszędzie, gdzie tylko uważałem za potrzebne. „Horodczuckie” buty robione w Dawidgródku, nieprzemakalne, pozwalają na brnięcie w wodzie. Sezon spławu wiosennego 1939 roku wypadł „bardzo dobrze”, jak oświadczył mi dyrektor, mimo że po mało śnieżnej zimie zapasy wody były stosunkowo niewielkie — ale potrafiłem je „wygospodarować”.

Ledwo spław się skończył — nowe zagadnienie: trzeba w lasach przystąpić do kultur leśnych i zalesień. Znów poznanie planów, raportów, wgrzyzanie się we wszystkie plany wydziału administracji lasów w Mikaszewiczach i w Czuczewiczach.

Kwiecień — okres polowań wiosennych. I znów przyjechali pojedynczy goście: sekretarz poselstwa belgijskiego *comte d'Autaucourt*, przyjechał młodszy Antoni Wieniawski. Jeździłem z nimi na głuszce i sam polowałem. Zabiłem trzy bardzo piękne koguty, nie licząc cietrzewi. Co za urok tego polowania! Na cietrzewie polowanie z budek! Na kaczory „z kryczuchą”. To jednak musiałem godzić z pracą inną. Od końca kwietnia polecił mi dyrektor ponownie więcej poświęcać czasu fabryce i tartakom, które w pełni pracowały już na surowcu spławionym.

Dzień mój więc się unormował. Mamusia przyjechała do mnie na Wielkanoc i pozostała aż do połowy sierpnia. O godz. 7 Metek (nieoceniony mój Metek był wszystkim: służącym, *valet de pied*, kucharzem, ogrodnikiem, szoferem, opiekował się Rockiem, który zwykle ze mną jeździł) budził mnie, nastawiając w sąsiednim gabinecie radio i „powoli wzmacniając, by pan hrabia nie budził się tak gwałtownie”. Po pięciu minutach wchodził do mnie meldując, że śniadanie gotowe! Szedłem do jadalnego, gdzie „kawusia z kozuszkami, bułeczkami, wędliną itp. smakowicie czekała”. Zaraz po śniadaniu kąpiel — a już wszystko do ubrania się i golenia gotowe, w zależności od zapowiedzianego planu dnia. Szedłem do Mamusi na „dzień dobry”. O 8-ej z punktualnością niebywałą zajeżdżał „pan Harytanowicz”. Wsiadałem, ubrany ciepło w burkę i wyjazd w lasy. Sztucer i dubeltówka zawsze ze sobą! Albo sam prowadziłem, albo Harytanowicz, który fantastycznie woził po poleskich drogach. Nie miałem ani nawet jednego kilometra szosy! Do najbliższej do Pińska było 125 km!

Albo więc miałem odwiedzić cięcia, bindugi, kultury, albo zrobić inspekcję nadleśnictw, leśnictw, dojrzeć słuź, stanu wód itp. Całe rano w lasach! Wracałem do domu na 2 — nawiany, wesoly, nasycony przyrodą! O 2-ej obiad z Mamusią — zawsze zakąska i coś na rozgrzewkę. Gdy w maju ciepło i ładnie było czasem, Mamusia ze mną jechała po lasach. Po obiedzie „chwila dla siebie” i przeczytanie poczty, gazet. W domu byłem do czwartej. O 4-ej *cup of tea* z Mamusią i wychodziłem do Biura Głównego.

Gmach Zarządu duży — ponad 50 osób pracujących w biurach. Miałem już swój gabinet koło gabinetu dyrektora. Tu zastawiałem całą pocztę do przejrzania! 4—6 teczek z korespondencją zagraniczną. Trzeba było to przejrzeć dość szybko i sprawnie. Wzywałem poszczególnych referentów i wydawałem polecenia, jak

odpowiedzieć na co, względnie zostawiając ważniejsze rzeczy do decyzji dyrektora. Sekretarka, stara panna, świetnie władająca angielskim, francuskim i niemieckim, brała notatki. O 6-ej wychodziłem z Biura Głównego i „na fabrykę”! Tu (również miałem gabinet) wezwanie po kolei wszystkich kierowników działów i majstrów — w pewnej kolejności, wysłuchanie raportów, jak praca idzie — wizytacja całości fabryki, gdzie „oko pańskie konia tuczy” — i zajrzenie na wszystkie działy: fabryka była bardzo łaonie rozplanowana, ale ogromna przestrzennie. Wszędzie miły, ciepły zapach pieczonego chleba — tak bowiem pachnie rozgrzane i wyparzone drzewo. Po rozejrzeniu się i stwierdzeniu, czy całość produkcji „wychodzi”, czy nie ma gdzieś *embouteillage’ów*, zatkan — czy surowiec rozwijany na łuszczarkach daje spodziewane gatunki fornirow — powracałem do gabinetu i tu zwykle jak na szachownicy, opracowywałem (łącznie z dyrektorem) plan pracy na najbliższe 48 godzin, uwzględniając stan faktyczny na fabryce. Drugi raz wzywani są kierownicy działów i majstrowie i wydawane są dyspozycje i dyrektywy.

W tej pracy były tak miłe interwale! Siedzimy z dyrektorem, majstrowie, inżynierowie są po instrukcji — nagle dyrektor patrzy przez okno — i mówi: „Panie Stefanie, dobra pogoda, skoczmy na słonki!” — telefon do garażu fabrycznego, telefon do Metka, by zaraz przywiózł dubeltówkę i naboje. Za 10 minut samochód jest przed biurem fabrycznym, siadamy, wyjeżdżamy o 3 km za Mikaszewicze na wspaniałe ciągi słońek. Zabijamy po 2—3 — ściemnia się, z powrotem w samochód i po przerwie trzech kwadransów, dalej praca w biurze fabrycznym. O 7.30 przynoszą do Biura Głównego pocztę do podpisu. Woźni przynoszą 3—5 teczek korespondencji eksportowej. Szybkie przejrzenie, podpisanie, sprawdzenie, czy wszystkie wskazówki dane zostały uwzględnione!

O 8-ej jestem „gotów”! Wracam do domu na kolację. Mamusia czeka! Kolacja przy świecach — nie wolno było inaczej! Nawet jak sam byłem. Metek stoi w progu. Rock siedzi koło niego, bo nie wolno mu było wchodzić do jałalnego podczas *les repas*. Po kolacji zasiadamy z Mamusią w gabinecie, Mamusia z robotą, ja pasjanse stawiam — radio gra — trochę miłej muzyki. Czasem siadam do pisania listów lub do prac historycznych i heraldycznych, które tak lubię. Rozmawiamy sobie — ja rysuję, wklejam fotografie — Mamusia mi opowiada, co przeczytała w gazetach i periodykach, których czasu nie miałem sam przeczytać.

O 10-ej „zmiana” w fabryce — zmiana nocna. Jest to najnewralgiczniejszy moment w jej pracy. Po zmianach dziennych produkcja wchodzi w wąską szyjkę pracy nocnej, w zmniejszonym składzie, gdyż działy, gdzie pracują kobiety, w nocy są nieczynne. Idę więc do fabryki i asystuję przy zmianie — obchodzę fabrykę, sprawdzam, czy kierownik zmiany wszystko wie i jak technicznie ma zamiar to wcielić w życie. Jest to *le dernier coup de main du maitre* przed spoczynkiem. Zwykle z dyrektorem wówczas schodzimy się razem. Około 11-ej wracam do domu — chwila rozmowy z Mamusią — i spać — by znów o 7-ej rano przy radiu być obudzonym.

*

Taki był mój dzień. I jakże dobrze mi z tym było! Tyle ciekawych dziedzin pracy! tyle zainteresowań! I lasy, i natura, i nawet polowania — biuro, kontakty eksportowe — kontakt z całym światem (nierzadko telefony z Warszawą, Antwerpią, Londynem czy Zurichem), i praca na fabryce pełna życia, werwy, z poczuciem kierownictwa. Tak mi dobrze było, tak każdy dzień był nowy i ciekawy, że w 1939 roku nie chciałem wziąć urlopu. A przy tym stosunek dyrektora do mnie był nadzwyczaj miły: zawsze mi mówił: „Niech Pan pracuje tyle, ile się panu podoba: jeśli pana głowa boli albo coś dolega, lepiej niech pan w ogóle

odpocznie — wiem, że i tak Pan to nadrobi, jak będzie Pan »w sosie«. Oczywiście poczucie odpowiedzialności nie pozostawiało dużo wolnego czasu!

W końcu maja 1939 — dyrektor nagle zdecydował wyjechać na miesiąc do Szwecji, Belgii i Anglii. Wezwał mnie i powiada: „Obejmuje Pan sam fabrykę i przez miesiąc pan ją poprowadzi! — gdyby Pan »tonął«, to niech Pan telegrafuje, wróć, by ratować. Będziemy zresztą w kontakcie telefonicznym”.

Przyznam się, że był to dla mnie moment bardzo ciężki. Pierwszy raz wówczas w życiu (i mam nadzieję, że ostatni) przeszedłem przez moment wątpliwości w siebie samego. Czy podołam? Czy wolno mi na siebie tak wielką odpowiedzialność brać już teraz? Nie było jednak rady! Prosiłem tylko dyrektora o wyrozumiałość i zapewniłem, że wszystko zrobię według najlepszego zrozumienia. Był czerwiec! Kultury leśne skończone — lasy więc nie wymagały moich częstych wyjazdów, ograniczyłem je do jednego dnia w tygodniu, traktując to raczej jako odpoczynek. Cały czas poświęciłem fabryce, produkcji oraz Biuru Głównemu z całą pocztą i korespondencją zagraniczną.

Dyrektor wyjechał! Zostałem sam, mając przed sobą całe Biuro Głównie, pa-trzące na mnie okiem krytycznym i z zaciekawieniem, jak sobie dam radę, oraz fabrykę z jedenastoma inżynierami, kierownikiem tzw. głównym fabryki (dział administracyjny), trzema kierownikami zmianowymi i 150 robotnikami! W tych warunkach oczywiście czas nie grał roli — nie było godziny, bym myślą nie był przy pracy, starając się jednak tak sobie to zorganizować, by się nie przemęczyć nieroztropnie.

Minął pierwszy, drugi tydzień! Praca szła i mimo szukania ciągle, czy czegoś nie opuszczam, nie znajdowałem grubszych błędów. Telefon z dyrektorem miałem co trzeci dzień. On dzwonił o 7-ej wieczór ze Sztokholmu, Kopenhagi i Zurichu, Brukseli, Londynu. Poza tym co drugi dzień telefon z Antwerpii od nowych władz spółkowych — a z biurem warszawskim codziennie.

Telefonicznie otrzymywałem dyrektywy ze świata: jakie jest zapotrzebowanie na rynkach świata, które umowy i kontrakty na dykty forsować, które wstrzymać, które przyspieszać: np. Argentyna najprzód, potem holenderskie o takiej klasie jakości, Nowa Zelandia i Indie przed Szwajcarią itp. Wszystkie te dyrektywy otrzymywałem sam w moje ucho — i trzeba było zaraz je brać na warsztat decyzji w fabryce. I w tej pracy odnalazłem się. Poczucie władzy, poczucie dyrygowania ludźmi, sprawa mi najwyższą satysfakcję. Nie boję się brać odpowiedzialności, nie mam lęku przed powzięciem decyzji!

Uczucie wchodzenia na teren fabryczny i ujrzenia, że tu kolejki pracują, jeżdżą, ruszają się, tu kłocę wydobywają z wody, tu jadą wagoniki do parowni, kotłownia (gmach osobny) idzie, elektrownia (osobny gmach) huczy, fabryka w pełnym ruchu, wszystkie działy pracują, łuszczarki, nożyce, suszarnie mechaniczne, dział maszyn, szywalni, dział lamelek, dział fornirow, prasy, klejarki, szlifierki, sortownie, pakowalnie, dział ekspedycji, ładunek wagonów na eksport — wszystko idzie — idzie, bo ja tak chcę! Mogę w każdej chwili powiedzieć: stój! i stanie i pociąg, i szlifierki, i łuszczarki — powiem idź! i znowu wszystko ruszy. A celowość poszczególnych ruchów, praca jest znana tylko mnie. Ja wiem, dlaczego taką dyrektywę i decyzję daję, bo wiem, że celem jest wykonanie otrzymanego „na ucho” polecenia czy wskazówki. Wszyscy inni, cały personel fabryki od inżynierów po ostatnich chłopów-poleszuków wyciągających tratwy, mają zakres swej pracy ciasny — a wysiłki wszystkich koncentrują się dopiero w mojej świadomości i w mojej woli. Niesłychanie twórcze poczucie władzy, decyzji! Fabryka była tak przez dyrektora prowadzona, że dyscyplina pracy była nadzwyczajna i nie nigdzie nie „zgrzytało” poza najnormalniejszymi niedociągnięciami.

Wiadomość o wyjeździe dyrektora oczywiście była wszystkim znana — wszy-

scy wiedzieli, że z jego woli ja objąłem dyрекcję w swe ręce: wszyscy patrzyli na mnie — jak sobie dam radę — i każda dyrektywa czy rozkaz były z najlepszą wolą wykonywane, ale ... gdyby „pogmatwała się” praca produkcji, patrzono by, jaki ja znajduję sposób „wyprostowania” błędu.

Odpowiedzialność szalona, która naprawdę mi spać nie dawała. Konieczność wzmocnienia autorytetu — niedopuszczenie do jego podważenia! Byłem młody! 31 lat! Wszyscy niemal inżynierowie starsi ode mnie. Sto myśli przebiegało głowę, sto myśli szukało odpowiedzi i jasnej, przemyślanej, ale stanowczej decyzji!

*

Mamusia, z którą myślałem się dzieliłem, była ciągle przy mnie i ogromną mi była podporą moralną — Metek chodził dumny, że „jego pan hrabia jest pierwszy teraz w Mikaszewiczach” — uważał też, że my (to znaczy ja i on) jesteśmy teraz za całą fabrykę odpowiedzialni!

20 czerwca — dzień gorący, upalny. Zjadłem obiad i jestem z Mamusią w gabinecie. Zbliża się godzina 2 po południu — zmiany oznajmianej syreną fabryczną. Siedzę przy biurku, Mamusia w fotelu i robi robotkę — pijemy czarną kawę. Do fabryki pójść za godzinę!

Syrena się odzywa — ach! druga godzina — ale!!! co!!! syrena się powtarza, drugi, trzeci, czwarty raz... wezwanie na pożar! Krzyknąłem. „Jezus, Maria” i wybieciałem z domu. Mamusia! buch na kolana i modli się! Lecę i całość ogromu odpowiedzialności mam przed oczami! Wpadam przez bramę fabryczną, portier mi melduje, że nie widzi nigdzie dymu na terenie fabryki! Na placach w obrębie fabryki ruch niesamowity! Straż fabryczna już zaprzęga, wyjeżdża — fatalny moment, bo robotnicy schodzący ze zmiany szybko wychodzą z fabryki przez ciekawość — ci, którzy przychodzą na zmianę, również przez ciekawość pozostają na dworze, by się gapić. Podlatuje do mnie inż. Czerniewski — szef elektrowni i melduje, że pożar jest na osiedlu robotniczym! Jedna migawka! Dzięki Bogu! nie w fabryce. Trzeba opanować sytuację. Jedno mgnienie — wskoczyłem na wagonik z klockami, jak nie wrasną: natychmiast na miejsce! nie wiem, skąd ten głos nabrał takiej siły, że opanował tłum ludzi — i widocznie miałem taki wyraz twarzy, że gdy wszyscy na mnie spojrzeli, nastąpiła cisza i natychmiast każdy ruszył — jedni do fabryki do pracy, drudzy do wyjścia.

Sytuacja była opanowana z tą sekundą. Ostрым krokiem doszedłem do biura, zadzwoniłem na woźnych, chwyciłem telefon i kazałem się natychmiast łączyć przez naszą centralę, bez łączenia kogokolwiek innego! Telefony krótkie, zwięzłe i jasne: do garażu, podać mi zaraz samochód, — do kierownika straży fabrycznej, żądając natychmiastowego meldunku po dojeździe do pożaru, — do Biura Głównego: wszyscy na miejsce! nikt niech się nie rusza — na policję: pomoc w porządku przy pożarze! — do Mamusi — słówko otuchy i wyjaśnienia, że to nic tak poważnego. Samochód podjechał — rzuciłem okiem na hale fabryczne — praca szła normalnie! mogłem odjechać. Wskoczyłem w samochód, syreną przeciągłą spowodowałem wczesne otwarcie bramy i jazda! na osiedle! Koło kościoła spotyka mnie łącznik strażacki na rowerze i melduje: „Panie inspektorze, palą się chlewki na osiedlu Kościuszki!”. Odetchnąłem! cóż tam chlewki! Straż już sobie poradzi! Zawróciłem na fabrykę! praca już szła pełną parą i normalnie.

W gabinecie moim klęknąłem przed Krzyżem na ścianie i podziękowałem Bogu! Fragment! tak! ale co za napięcie nerwów! jakaż odpowiedzialność! — strata była bardzo mała — spaliły się trzy chlewki i jeden prosiak.

W końcu czerwca wraca dyrektor! Trzydziestego rannym pociągami z Warszawy. Odczuwam ulgę — ale i emocje — jak wszystko oceni? Przychodzi na fabrykę, wita się serdecznie ze mną, ale krótko — „Niech pan sobie nie przeskadza” i poszedł na fabrykę. Trzy dni ze mną właściwie nie mówił, tylko chodził po fabryce, sprawdza, przygląda się — w Biurze Głównym pracuje nad dyrektywami. A ja się wzię z ciekawości. Jeśli nic mi nie mówi — to znaczy, że nic „tak złego” nie ma, by coś „naprawiał”. Wreszcie mówi mi: „Panie Stefanie! na fabryce jest dobrze! — ale jeżeli tak dobrze jest, to wiem, czym pan sobie pomógł: wydajność surowca na pewno jest słaba!” (Wydajność surowca było to obliczenie ile m³ kłoca surowca zużywało się na 1 m³ gotowych dykt. Norma, do której się dążyło, była 2,60 — w ostatnich miesiącach wynosiła 2,65 — —2,70 — gdy praca szła „ciężko”, wówczas kierujący, dyrektor lub ja, mogli zawsze zadysponować wzięcie do roboty lepszej klasy surowca, co oczywiście poprawiało wydajność — ale kosztem zużycia lepszej klasy!).

— Chyba nie, panie dyrektorze, codziennie sobie robiłem sprawdzian i według mnie oraz definitywnych obliczeń biura studiów (specjalny dział w biurze fabrycznym — obliczeń statystycznych i laboratoryjnych) powinno się za ten miesiąc nie przekroczyć normy 2,65!”

— „No ja panu mówię! Założmy się!”

— „Nie, panie dyrektorze, nie zakładam się — Pan tak zna tę fabrykę, że zakład byłby nierówny — ale uważam, że w tej sprawie nie zrobiłem błędu”.

— „No założmy się o butelkę wina!”

— „Nie, panie dyrektorze, nie mogę!”

Dwa dni mijają. Dyrektor prosi mnie i Mamusię na kolację do siebie. Jest i ciocia Winia Kowerska (siostra Mamusi) i starosta z Łunińca. Kolacja dobra, zakąski, wódka, potem wyśmienite menu. Na końcu dyrektor wstaje i zwraca się do Mamusi: „Proszę pani hrabiny, założyłem się z panem Stefanem o butelkę wina — on wie o co się rozchodziło (akcent z rosyjskiego) — z całą przyjemnością tę butelkę przegrałem i pozwolił mi hrabina, że w jej ręce zdrowie p. Stefana wypiję!” I wjeżdża szampan w kieliszkach. Przyszła, że miłszej satysfakcji nie mogłem mieć za ten miesiąc uczciwego wysiłku i pracy! Wydajność była 2,62!!!

Natychmiast potem dyrektor powiedział mi: no! widzę, że Pan nie utonął, więc jutro wyjadę na miesięczny urlop! — i wyjechał do Truskawca — a ja cały lipiec dalej prowadziłem fabrykę! Pensja moja podwyższona została do 1500 zł.

*

W sierpniu przyjechał Jurek. Zrobiliśmy cudowną wycieczkę. Pojechaliśmy samochodem do Hawrylczyca o 120 km na północ od Mikaszewicz, tam przygotowane były dla nas łódki, każdy miał swoją z chłopcem wiosłarzem i przez trzy dni spływalimy rzeką Łanią i kanałami do Mikaszewicz. Trzy dni człowieka nie widzieliśmy! Istna dżungla afrykańska — przez bagna, lasy olchowe — trzcinny — dzicz!

Zaraz po 15 sierpnia Mamusia wyjechała do Osmolic, do Stadnickich w Lubelskim, Jurek do pułku, a ja do Warszawy służbowo, do Gdańska i Gdyni — również służbowo. Skąd 24 VIII na gwałt wracałem do Mikaszewicz, by 31 VIII 1939 r. być zmobilizowanym i opuścić 1 IX Mikaszewicze na zawsze, zostawiając wszystko: dom, meble, ubrania, bibliotekę, pamiątki — wszystko, wszystko, co było dorobkiem mojej dotychczasowej pracy!

*

Według planów miałem w październiku 1939 r. pojechać do Belgii i Anglii, by poznać naszych odbiorców — zaś w lutym 1940 do Szwecji, Finlandii i Łotwy, by poznać przemysły konkurencyjne. Dalej przewidziane były coroczne moje wyjazdy za granicę w marcu i w listopadzie. Miałem wejść do Związku Producentów Dykt w Polsce jako przedstawiciel „Olzy” i z jej ramienia byłem typowany na prezesurę tego Związku. Dawało to możliwość brania udziału w kongresach międzynarodowych, targach, Izbach Handlowych, wejście przez Izby do prac Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Plany szerokie!

Na wiosnę 1939 roku Belgowie mi oświadczyli, że muszę się ożenić. — *Car vous comprenez qu'un „marital man” se compte tout autrement!* — Zapewnili, że z chwilą ożenienia otrzymam podwójną pensję! — i z tym wszystkim dotychczas jestem kawalerem, bo ciebie na drodze mej nie było.

I czyż mi źle było w Mikaszewiczach? Pracy masę, ale jak ciekawej, jak miłej, natura, polowania, warunki mieszkaniowe świetne, materialnie doskonale, stosunki z przełożonymi najmiłsze, satysfakcja z osiągnięć i to docenianych — łączność ze światem całym, wyjazdy za granicę — perspektywy szerokie na przyszłość! Świat zdobywałem własną pracą — i świat musiał być mój! bom wiedział, com chciał, i z całą jasnością do tego dążyłem.

I jak tu nie być optymistą.

ROZWIĄZANIA SOCJALNE W ZAKŁADACH MIKASZEWICKICH

Mikaszewickie Zakłady Drzewne „Olza” — tak brzmiała oficjalna nazwa fabryki dykt, parkieciarni i tartaku w Mikaszewiczach. Mając objąć stanowisko kierownicze, wprowadzony byłem przez dyrektora w całość zagadnień fabryki, a więc i w jej sprawy socjalne. Chociaż z natury nie mam specjalnego zamiłowania do „społecznikostwa”, to jednak „z urzędu” musiałem się tymi sprawami zająć. Zagadnienia socjalne interesowały mnie przede wszystkim jako przełożonego. Nie wolno nikomu na stanowisku kierowniczym przechodzić obok trosk, kłopotów, potrzeb i godziwych aspiracji podwładnych. Dlatego też dążyłem przede wszystkim ku poznaniu ludzi i warunków ich pracy, tak by mieć dostateczne przesłanki dla podejmowania decyzji wychodzących naprzeciw występującym potrzebom pracowniczym. Osobiście mogę stwierdzić, że w tej skali, jaką stanowiły Zakłady Mikaszewickie, zagadnienia socjalne były prowadzone i rozwiązywane na najwyższym poziomie! Było to niezaprzeczalną zasługą tak nieprzeciętnego, szlachetnego i mądrego człowieka, jakim był dyrektor generalny.

Zacznijmy od naświetlenia jego właśnie stosunku do tych spraw. Gomberg był zdecydowanym przeciwnikiem jakiegokolwiek „socjalizacji” pracy czy zakładu. Uważał, że system kapitalistyczny jest zdrowy, o ile w komórkach kierowniczych zasiadają ludzie rozumni i nie nastawieni egoistycznie w imię uprawnień Kapitału. Czy to teoria? Przeciwnicy zakwestionowaliby takie postawienie sprawy. No, ale zobaczmy, jak Gomberg swe poglądy wprowadzał w życie, a ja mu sekundowałem w miarę mojego najlepszego zrozumienia i najlepszej woli.

Dyrektor prowadził fabrykę od początku, to jest od 1928 roku — i sam ją rozbudowywał. Stąd znał świetnie wszystko i wszystkich!

Wprowadzona była zasada, nie spotykana gdzie indziej, że dyrektor osobiście przyjmował wszystkich bez wyjątku w środy każdego tygodnia, począwszy od godz. 16 po południu — chyba że był nieobecny w Mikaszewiczach, ale wówczas oczywiście wszyscy o tym wiedzieli. Każdy robotnik fabryki, tartaku, administracji lasów czy majątków, placów, składów — miał prawo zgłosić się do dyrektora, bez jakichkolwiek formalności w jakiejś kancelarii, biurze czy fabryce.

Oczywiście, trzeba to było w pewnej mierze zorganizować; a więc woźny dyrektora wydawał numerki kolejności, tak by zgłaszający się nie musiał czekać, tylko od razu przychodził na wyznaczony czas. Zasadą było, że dyrektor przyjmował wszystkich bez przerwy i niezależnie od tego, ile mu to zajmowało czasu. Nieraz więc środa była dla dyrektora „nocną pracą”, audyencje kończyły się o 12, a nawet 1 w nocy. Kolację na tacy kazał sobie wówczas przynosić do biura, tak by nie przerywać audyencji, by nikt na niego nie czekał.

System ten był dla całej atmosfery panującej w przedsiębiorstwie zbawienny!

Z jednej strony dyrektor znał wszystkie tajniki warunków pracy, skargi, prośby, narzekania, z drugiej natomiast na skutek tego systemu nie występowały prawie zupełnie uprzedzenia, rozgrywki personalne, które są nieuniknione w takim zbiorowisku ludzkim. Każdy majster, każdy inżynier, rządcą czy nadleśniczy wiedział, że podwładny ma prawo pójść bezpośrednio do dyrektora ze skargą lub też domagać się wyjaśnienia takiej czy innej sprawy.

System ten zarazem stwarzał dzięki mądrości osobistej Gomberga atmosferę najpełniejszego zaufania do niego.

Przychodzili więc do niego ludzie ze wszystkim: czy radzi krowę kupić, czy i gdzie kształcić syna, co zrobić, gdy córka się puściła (przepraszam bardzo), zapraszali dyrektora na chrzciny lub ślub, prosili o podwyżkę, pożyczkę, przydział opału, podniesienie dziennej stawki. Na wszystko dyrektor odpowiadał i podejmował decyzje od razu wszędzie tam, gdzie przemawiały za tym bezstronne argumenty. Gdy zaś istniało podejrzenie o stronniczość i należało sprawdzić informacje, decyzja odkładana była do następnej środy. Nigdy dłużej!

System ten był zasadniczym szkieletem stosunków socjalnych Zakładów w Mikaszewiczach! Przy tym demokracja była stosowana w pełni: obojętnie czy to inżynier, czy szef biura, czy majster, czy najprostszy robotnik — kolejność przyjęcia była według czasu zgłoszenia się! W ogonku więc czekali robotnicy pomieszani z majstrami i urzędnikami. Ze względów pedagogicznych dyrektor sam i mnie polecił zgłosić się „we środę” — czekałem więc tak samo, jak i inni. Cóż za mądrość pociągnięcia! Wszyscy czuli się równi wobec obowiązków i praw przysługujących!

Później naturalnie się to zmieniło, gdyż już w 1939 roku zazwyczaj dyrektor prosił, bym asystował w jego gabinecie podczas tych audyencji. A cel tego był niejako podwójny: z jednej strony chodziło o to, by przyzwyczaić wszystkich do tego, że we wszystkich sprawach jestem jego zastępcą, a z drugiej, bym zapoznał się z bolączkami i potrzebami innych oraz podejmowanymi „na żywo” decyzjami dyrektora.

Mając tak bezpośredni kontakt ze wszystkimi, dyrektor znał całość swej załogi „na pamięć”. Aby nie przeszkadzało to w pracy, w zasadzie nikt nie był przyjmowany w sprawach osobistych poza środą, oczywiście z wyjątkiem wypadków nagłych, ale wówczas musiało to być służbowo zameldowane przez szefa kancelarii.

*

A teraz — jak były rozwiązywane potrzeby robotnika czy w ogóle pracownika?

Zagadnienia mieszkaniowe: całe niemal osiedle Mikaszewicz było własnością „Olzy”. Pracownicy i robotnicy dzielili się na kilka kategorii:

1. Robotnicy pochodzący ze wsi okolicznych — miejscowi poleszcy — zatrudnieni przy najprostszych robotach: na placach, w tartakach przy deskach, klocach, przy spławie, w kotłowniach — mieszkali przeważnie u siebie w swych chałupach. Dostawali tylko przydział opału z lasów, pastwiska dla krów, pierwszeństwo przy kupnie działek kośnych łąk i po specjalnej cenie, oraz w większo-

ści wypadków światło elektryczne. Dążyliśmy do włączenia wszystkich najbliższych wsi w sieć elektryczną, ale to było w trakcie roboty.

2. Robotnicy stali fabryczni — otrzymywali przydział mieszkania. Domów pojedynczych i podwójnych było ponad 300 — wszystkie drewniane, ale tynkowane, z osobnymi chlewikami, obórką oraz ogrodem warzywnym i 4 drzewkami owocowymi. Było kilka starszego typu czworaków lub ósmioraków, ale zasadniczo były one przewidziane na rozbiórkę w miarę postępu budowy dalszych domów osiedla. Robotnik otrzymywał deputat opału drzewnego, deputat pastwiska na 1 1/2 sztuki bydła darmo, za dalsze sztuki musiał opłacać pastwisko, działkę łąk kośnych z opłatą 20% ceny dla obcych oraz światło elektryczne darmo.

3. Pracownicy począwszy od majstrów wzwyż, biuraliści, inżynierowie, ekspedycjoniści itp. otrzymywali mieszkania w domach murowanych. Plan domów był niezmiernie praktyczny i oparty na wzorach szwedzkich. Każdy z ogródkiem, drewnutnią i chlewikiem, bez obórki i prawa trzymania krów. Natomiast była cała dzielnica placów koło kościoła, gdzie parcele były wydzierżawione przez „Olzę” pod budowę własnych domów na 99 lat (w strefie granicznej bowiem nie wolno było sprzedawać ziemi bez pozwolenia władz wojskowych i indywidualnych zleceń Ministerstwa). Ułatwienia do budowania własnych domów „Olza” dawała niesłychane w postaci drzewa, blachy, farb itp. tak, że w rzeczywistości ten, kto się budował, miał w połowie dom postawiony za darmo. Myśl główna dyrekcji była, by zachęcać do osiadania na stałe rodzin „na własnym”! Oczywiście decydowało kryterium opinii o danym pracowniku. Zdolny pracownik, oszczędny, z liczną rodziną mógł zawsze liczyć na pełne poparcie i ułatwienia. Wszyscy otrzymywali deputat opału, światło, ogródek.

4. Najwyższą kategorię stanowili pracownicy najwyżsi: dyrektor, ja oraz złączeni z „Olzą”, ale w innej formie: ksiądz proboszcz, policja, poczta, spółdzielnia, lekarz, nauczycielstwo, pielęgniarki. Dyrektor i ja mieliśmy swoje domy (dyrektor 8 pokoi, ja 4 pokoje, łazienka, hall, służbowy pokój i przyległości) ze swoim ogrodem. Otrzymywaliśmy opał, deputaty, światło, ogrody.

Tak więc wszyscy byli porozmieszczani. Były jeszcze inne kategorie mieszkań. Dla kawalerów — młodych robotników — był „pensjonat” z 40 miejscami w pokojach po czterech, gdzie była również stołówka prowadzona przez kierowniczkę i gdzie za utrzymanie dziennie robotnik płacił 90 groszy! (śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacja). Z tego korzystać mogli tylko kawalerowie z dobrą opinią pracy, jak i dobrą opinią innych władz (wojsko, KOP, policja, ksiądz).

*

Stawki robotnicze były indywidualne! System niesłychanie komplikujący pracę kalkulacyjno-buchalteryjne, ale niezaprzeczalnie najsprawiedliwszy!

a) Poszczególne prace, czynności i kategorie umiejętności czy wykwalifikowania decydowały o zasadniczej stawce, która wahała się od 2 do 7 zł za dniówkę.

b) Premię obliczano co dwa tygodnie lub miesięcznie. Każdy dział miał premię za swą własną pracę, a ponadto były premie ogólne, tak zwane „fabryczne”. Np. była premia za ilość wyprodukowanych dykt w danym miesiącu i odpowiedni stosunek dykt „mokro-klejonych” i „sucho-klejonych” (gdyż tendencją normalną było kleić dykty mokre, wymagało to bowiem mniejszego wysiłku). Poza tym premia „fabryczna” była dla wszystkich z tytułu „wskaźnika wydajności surowca”. Jeżeli w danym miesiącu wskaźnik był dobry, co świadczyło, że wszystkie działy pracowały starannie i oszczędnie, to robotnicy, majstrowie i personel kierowniczy otrzymywali dodatek. Stąd ogromne zainteresowanie pracą i wzmożenie poczucia odpowiedzialności zbiorowej. Robotnicy na łuszczarkach (główni) mieli np. „premie od wyszczerbionych noży”, ale w kierunku odwrotnym —

robotnikowi takiemu wypłacana była (poza stawką dzienną najwyższą) premia 50 zł miesięcznie, od której za każde wyszczerbienie potrącało się po 4 zł. Wykaz „szczerb” wywieszany był codziennie na widok publiczny w dziale łuszczarek. Każdy łuszczacz, wchodząc na fabrykę, pierwsza rzecz patrzył na ten wykaz zaciekawiony, jak koledzy z ostatnich dwóch zmian się spisali. Było to podtrzymywanie zdrowej konkurencji!

c) Dodatek rodzinny! Najzdrowsza sytuacja, jaka jest na świecie, jeśli jest stosowana przez świadome kierownictwo! W Mikaszewiczach stosowana była zasada: kawaler zarabia na siebie. Żonaty musi utrzymać żonę i dwoje dzieci; za każde następne dziecko otrzymywał dodatek i to progresywny. Charakterystyczny był fakt, że robotnik Łazorczuk, prosty (analfabeta) człowiek w wieku 40 lat pracujący na „korowalni”, czyli przy zdzieraniu kory z klocków — robota najprostsza, choć nie najłżejsza, mając dziewięcioro dzieci, z których już dwoje pracowało w fabryce, otrzymywał wypłatę wyższą od znakomitego, zdolnego, energicznego 24-letniego majstra w dziale „lamelek” — ale kawalera!

Pomoce przy pracy, wchodzące w ciężar kosztów fabryki:

1. Robotnicy w niektórych działach otrzymywali darmo ubrania: przy łańdunku „kraży” do komór: ubrania granatowe ze skórą na łokciach, kolanach i siedzeniu — co dwa miesiące nowe! Robotnicy przy klejeniu dostawali ubrania i fartuchy gumowe. Wszystkie dziewczęta i kobiety otrzymywały fartuchy z rękawami i białe chustki na głowę — obowiązkowe przy pracy (trzeba powiedzieć, że bardzo ładnie w nich wyglądały).

2. Wszyscy robotnicy na fabryce mieli swoje szafki, by mieć gdzie powiesić ubranie, położyć śniadanie czy podwieczorek. Wszyscy dostawali raz na dwa tygodnie kawałek mydła do mycia rąk w fabryce. Nie wolno było tego mydła wnosić do domu, do czasu gdy nie dostało się nowego kawałka! I co to było za mydło! Wszyscy raz na kwartał dostawali ręczniki nowe na własność, które można było wziąć do domu dopiero wówczas gdy otrzymywało się następny — przy tym czysty musiał zostać w fabryce, a starszy mógł być zabrany. W fabryce były ustępy i wspaniałe umywalnie dla każdego działu.

POMOCE OGÓLNE DLA ROBOTNIKÓW

1. Łaźnia. Ogromna łaźnia parowa i prysznice: trzy razy na tydzień dla mężczyzn, trzy razy dla kobiet. Jak dyrektor mi mówił, zainteresowania dla tej łaźni z początku zupełnie nie było. Trzeba było namawiać, grozić, straszyć i presji używać. Łaźnia była darmo, mydło darmo, ręczniki (do używania) darmo! Dyrektor uciekał się do ośmieszania nawet: zobaczywszy „młodzieńca” robotnika brudnego, brał go na dział, gdzie pracowały kobiety i kazał mu zdjąć np. koszulę! Co za wstyd! i wyśmiewanie! Ale podobne drastyczne sposoby stosował wobec dziewcząt (powiedzmy bez zdejmowania koszuli) — wynik jednak został osiągnięty! Za moich czasów łaźnia była „przybytkiem”, gdzie każdy miał ambicję być co najmniej raz na tydzień, tak że trudno było już pilnować kolejki — a jednego dnia przechodziło przez łaźnię do 500 osób.

2. Pralnia. Ponieważ domy były drewniane, nie można było nikomu robić prania w domu. Drugi też był powód: nie mogło być wilgoci w domu, ze względu na zdrowie! Dlatego była pralnia: 25 kotłów, z kurkami, z wrzątkiem i zimną wodą, oraz 25 instalacji pełnych: balie, wyżymaczki, tarki itp. Mydło do prania darmo! Proszki potrzebne darmo, woda i opał darmo, światło darmo i wspaniałe urządzenie suszarni gorącym powietrzem darmo. Baba przynosząca pranie, wyprała wszystko w 3 godziny, a wysuszenie trwało 30 minut — i suche zabierała do domu. W ten sposób czas prania dla każdego robotnika wypadał co dwa tygodnie.

3. Dom Ludowy. Bardzo piękny, gustowny duży gmach murowany, miał dużą salę „teatralno-balową” z estradą, sceną, kulisami i kinem dźwiękowym, grającym we wtorki, czwartki, soboty i niedziele. Kino dzierżał i prowadził KOP, było płatne dla wszystkich. W sali tej odbywały się akademie, uroczystości oraz zabawy i bale. Trzeba było widzieć, jak robotnicy się zachowywali: poziom rozmów, poziom bycia najwyższy. Nie było pijanych, nie wybuchały awantury. Do tych spraw była „służba ogniowa”, trzymająca służbę porządkową. Należeli do niej najmocniejsi i najprzystojniejsi chłopcy, którzy mieli też specjalne pensje i dodatki. Za moich czasów w nocy od iskry, jaka powstała na szlifierce, zapalił się wydmuchiwany do „wieży exhalatoryjnej” pył drzewny. Ogień buchnął jak zapalka. Straż w nocy zgasila pożar w ciągu 12 minut! Wobec takiej sprawności dyrektor uzyskał od Towarzystwa Asekuracyjnego pensję dla strażaków w kwocie 3000 zł. Wszyscy dostali więc po przeszło 100 zł gotówką — co to była wówczas za suma! — oraz fabryka urządziła specjalną zabawę dla wszystkich z darmowym bufetem!

Poza salą główną były trzy duże świetlice z pismami, gramy (szachy, warcaby), z radiem oraz osobna biblioteka, bardzo bogato wyposażona, z wypożyczalnią książek do domów. Wszystko to na koszt fabryki.

Dom Ludowy stał naprzeciw kościoła i był pod patronatem dyrektora, moim i proboszcza.

4. Opieka społeczna. Dział, który winien każdego zainteresować. Opiszę go więc dokładniej, by każdy na jego przykładzie mógł odnaleźć idee, jakie uznaje za moralnie i społecznie ważne.

A więc przede wszystkim wprowadzony dodatek rodzinny stwarzał przychylną atmosferę dla zwiększania rodziny: ludzie wiedzieli, że fakt zajścia w ciążę żony nie jest nieszczęściem i ciężar materialny właściwie będzie zdjęty z rodziców. Przyjrzyjmy się jednak, jakimi sposobami dyrektor założenia te wcielał w życie:

Kobieta w ciąży miała obowiązek natychmiast zameldować się do lekarza-ginekologa, utrzymywanego na specjalnym etacie fabryki. Przez cały okres obowiązkiem jej było meldować się co tydzień u tego lekarza, pod rygorem nie otrzymania później wyprawki. Jeżeli pracowała ona w fabryce, to 6 tygodni przed położeniem przechodziła na płatny urlop, który trwał jeszcze dwa miesiące po położu. Położu nie wolno było odbywać w domu. Był specjalny „Dom Matki” — szpitalik ginekologiczny pod nadzorem lekarza, dwóch akuserek oraz 6 pielęgniarek — wszystko na koszt fabryki: 24 łóżka w 12 pokojach, osobna sala operacyjna oraz przychodnia dla oczekujących kobiet. Po rozwiązaniu matka z dzieckiem przez dwa tygodnie przebywała w szpitaliku. Dziecko otrzymywało pełną wyprawkę od fabryki o wartości 50 zł (przed wojną to ogromna suma, jeśli pieluszka kosztowała 80 gr.). W stan wyprawki wchodziła nawet wianienka.

Przez pierwszy rok dziecko darmo dostawało od fabryki z jej własnej mleczarni — mleko pasteryzowane. Dzieci rosły. Potem szły do fabrycznego przedszkola (*nursery*), przeznaczonego dla dzieci od 3 do 8 lat. Był to istny raj dla dzieci. Pięć freblanek, dom czystutki, w którym dzieci zostawały prawie cały dzień. Koszt utrzymania przedszkola pokrywany był przez fabrykę.

A dalej, w Mikaszewiczach był wspaniały gmach szkolny, murowany, piętrowy, wybudowany przez „Olzę” i stanowiący jej własność. Mieścił pełną siedmioklasową szkołę powszechną. Personel nauczycielski znakomity, gdyż warunki dla nauczycielstwa były najlepsze na całym Polesiu. Szkoła była państwowa. Dobór nauczycieli wchodził w kompetencje KOP, który miał prawo w każdej chwili „element niepewny” wysiedlić ze strefy granicznej. Lecz głównie dokonanie tego doboru zależało od nas („Olza”), gdyż myśmy decydowali o przydziale mieszkań,

opału, światła elektrycznego dla nauczycieli, aczkolwiek także od biskupa pińskiego, z którym byliśmy w doskonałych stosunkach.

Najlepszy element nauczycielski na Polesiu „pchał się, jak mógł” do Mikaszewicz. Nauczyciele otrzymywali normalną państwową pensję, ale od nas śliczne mieszkanie z ogródkiem, światło i opał darmo, no i mieli dostęp do życia kulturalnego, na miejscu było kino, radio, kolej, mogli utrzymywać liczne kontakty z ludźmi. Do szkoły chodziło ponad 1000 dzieci. Wszystkie pomoce szkolne, ołówki, pióra, książki były opłacane przez fabrykę. Dzieci dostawały fartuchy za darmo. Zakup przyrządów sportowych, pomocy naukowych pokrywała fabryka ze specjalnego, przeznaczonego na ten cel funduszu.

Szkoła mieściła się w pobliżu kościoła i domu ludowego. Bardzo lubiłem chodzić do szkoły i patrzeć na tę tak twórczą i celową pracę nad kształtowaniem młodego pokolenia. Na pewno większość tych dzieci, które jeszcze gdzieś na Syberii żyją, wspomina Polskę i Mikaszewicze jako raj na ziemi! Ileż tych dusz, jeśli się uratuje, przywiązało się przez to do Polski i do wiary.

Szkoła siedmioklasowa kończyła się! Co robić z młodzieżą? I to było przewidziane mądrą głową kochanego dyrektora. Po zakończeniu wykształcenia podstawowego młodzież męska i żeńska mogła przejść do szkoły rzemieślniczej. W Mikaszewiczach fabryka prowadziła szkołę przemysłowo-rzemieślniczą. Co prawda ilość miejsc była ograniczona: 60 dla chłopców i 60 dla dziewcząt. Dla chłopców od lat 16 do 18 były dwa działy: drzewno-stolarsko-dyckiarski oraz mechaniczny. Chłopcy odbywali płatne praktyki w fabryce, w parkieciarzni, w tartakach i w lasach przy eksploatacji, wyrabiając się na brakarzy, których w Polsce tak brakowało (prawie sami Żydzi byli brakarzami), były też praktyki mechaniczne w warsztatach fabrycznych i w elektrowni.

Do spraw teoretycznych na poziomie średnim wykładowcami byli inżynierowie z fabryki, praktykami kierowali majstrowie. Do samej pracy w szkole na stałe były zaangażowane trzy osoby: kierownik i dwie siły pomocnicze.

Z kolei dla dziewcząt były też dwa działy nauczania: pielęgniarski, oparty o praktykę w szpitalu fabrycznym oraz w „Domu Matki” — i dział szwalni, szycia wyprawek, na potrzeby fabryki przygotowywania odzieży ochronnej, wyroszenia dla „straży ogniowej”, a nawet prowadzenia szwalni dla prywatnej klienteli.

Chłopcy wychodzący ze świadectwem mikaszewickiej szkoły rozchwytywani byli później przez wszystkie fabryki dykt w Polsce i mieli już zapewnioną karierę zawodową. Najlepsi element jednak pozostawał u nas albo nawet „po zwiedzeniu świata” wracał do nas, bo nigdzie tak dobrze mu nie było!

Popieraliśmy bardzo to, aby po skończonej szkole chłopcy (18 lat), szli na ochotnika do wojska dla odbycia służby, tak by mając już 20 lat rozpoczynali swe zawodowe kariery.

Takie to były kochane Mikaszewicze!

Jeszcze jedno: „Olza” miała swoje „zakłady ogrodnicze”, obowiązkiem było ukwiecać teren fabryki — wszędzie były rabaty, pelargonie w oknach biura czy elektrowni, kwietniki przed biurem głównym, w ogrodzie dyrektora, moim, księdza, wokół klubu dla urzędników, w którym to można było zagrać w brydża, zjeść kolację i gdzie znajdowały się pokoje dla różnych urzędowych gości. Ponadto zakłady ogrodnicze miały za zadanie dostarczać po najniższych cenach nasiona do ogródków robotniczych oraz za darmo zapewnić wszystkim posiadaczom ogródków rozsady kapusty i pomidorów.

Ważną instytucją socjalną był szpital. Niewielki był, gdyż w Pińsku mieliśmy rzeczywiście wspianą szpital Ubezpieczalni, a ponieważ zawarliśmy specjalny układ z Ubezpieczalnią i dopłacaliśmy słono do składek, mieliśmy tak wyrobione stosunki, że nasi robotnicy byli znakomicie pielęgowani! W Mikaszewiczach był

więc szpital nieduży, na 20 łóżek, dwóch lekarzy oraz dentysta z całym gabinetem.

Nie można pominąć jeszcze spółdzielni. Miała duży gmach, murowany należący do „Olzy”. Personel fachowy płatny, ale mieszkania miał darmo od „Olzy” — stąd „wdzięczność” i „przywiązanie” do instytucji. Spółdzielnia prowadziła wszystkie możliwe działy, swego rodzaju *un grand magazine* i w razie potrzeby mogła zawsze liczyć na finansowe poparcie ze strony „Olzy”.

*

Na zakończenie tych wspomnień jeszcze dwa obrazki:

Interesowałem się bardzo wnikliwie każdym objawem życia robotników. Potrafiłem, tak jak dyrektor, wyrobić sobie zaufanie u ludzi. Co to za satysfakcja!

Czerwiec 1939 — dyrekcja za granicą. Ja sam prowadzę całość. Robiąc normalny, kilka razy dziennie obchód fabryki, zatrzymałem się przy pile taśmowej w dziale lamelek: śliczna maszyna, dużych rozmiarów. Pracuje przy niej jako wykwalifikowany robotnik Łazarenko, człowiek około 50 lat, z dużym wąsem, spokojny, małomówny a niesłychanie precyzyjny w pracy. Kochał maszynę swą i utrzymywał ją w czystości niczym na statku. Wszystko było wypielegnowane, błyszczące, lśniące!

— No jak tam, Łazarenko? Ile bloków dziś przetarliście?

— Idzie szesnasty, panie inspektorze!

— Zmęczeni już pewno jesteście?

— Nie, panie inspektorze.

— Ale coś smutnego macie — powiedzcie szczerze!

— Bo to prawdę powiedziawszy, panie inspektorze — mnie się zdaje, że coś nie w porządku. Krzywdę mam.

— Co? Jaką krzywdę? — Zatrzymajcie maszynę, bo nic nie słyszę!

Maszyna stanęła. Popatrzył na mnie i mówi: — Ale to nic pilnego — jeśli pan inspektor pozwoli, to po zmianie zajdę do gabinetu, to powiem — teraz szkoda mi szesnastego bloku.

— Dobrze! Przyjdźcie do gabinetu po zmianie o 10-ej (wieczór).

Maszyna równo ruszyła — szesnasty blok był pruty piłą taśmową.

— No, powiedzcie więc, jaką macie krzywdę?

Okazuje się, że przed pracą na pile taśmowej na fabryce pracował na tartaku jako starszy gatrowy. Stawka ta sama, gdy został przeniesiony tu, ze względów jakichś formalnych (ubezpieczenia czy coś podobnego) — zgodnie zresztą z decyzją dyrektora pozostał na „liście płacy” tartaku i pobierał wypłatę z listy tartacznej.

— Dotychczas jasne — krzywdy nie widzę — ale tartak w pewnych okresach staje i np. obecnie stoi na 10 dni. W tym wypadku gatrowi na tartaku otrzymują płacę zmniejszoną o 12% ze względu na lekką pracę tylko przy czyszczeniu oraz ostrzeniu pił — to też jest jasne. Ale on pracując na fabryce teraz od paru miesięcy, ma w tym okresie odliczane te 12%, mimo że go już tartak nie obchodzi, tylko „teoretycznie” tam figuruje na liście płacy. Rzeczywiście coś nie w porządku. Biorę telefon i każę centrali zadzwonić do kierownika wypłat robotniczych, do domu, i zapytać, czy mógłby zaraz na fabrykę przyjść. Chciałem zawsze takie rzeczy wyjaśnić od razu. Po paru minutach jest urzędnik Wasilewicz. Zapytuję go o stan tej sprawy. Tak, rzeczywiście, potrącamy, bo tak według przepisów tartaku jest przewidziane.

— Ale Łazarenko nie pracuje na tartaku — dlaczego ma mieć zmniejszony zarobek?

— To już tak jest z decyzji dyrektora!

Przerwałem krótko, widząc, że ciasny, buchalteryjny umysł nie nagnie się.

— Jutro (sobota wypłaty) wypłaci pan Łazarence pobory obliczone po pełnej stawce, jak mu się należy!

— Rozkaz panie inspektorze, ale nie wiem, jak to przeprowadzić?

— Ja też nie wiem. Wiem tylko, że ma to być poprawione! Dlatego, że pan nie wie, to robotnik ma zmniejszony zarobek?

— Słucham!

Nazajutrz, przypominam sobie ten fakt, i każę sobie podać listę płacy tartaku, by sprawdzić, czy dobrze obliczona stawka Łazarenki. Przynoszą mi i widzę, że potrącenie jednak zrobione. Każę prosić urzędnika Wasilewicza.

— Dlaczego pan nie obliczył Łazarence, jak mówiłem wczoraj?

— Bo nie wiedziałem, czy zmienić decyzję pana dyrektora i chciałem zaczekać na powrót pana dyrektora.

Jak nie huknę! — Ja panu mówię raz, żeby to zrobić, to ma być wykonane! Ja tu jestem od tego, by panu polecenia wydawać i nic pana nie powinno obchodzić wyżej! Odpowiadam za to!

Skofundowany wyszedł — wypłacił, jak kazałem.

Dyrektor powrócił. Między innymi melduję mu o tym. Słucha i mówi: — No widzi pan! Skąd mnie do głowy może przyjść, że taka umysłowość buchalteryjna nie zastanowi się nad czynioną krzywdą? Nie mogę przecież o każdym szczegółu wiedzieć. Doskonale pan zrobił. — I dyrektor wzywa Wasilewicza.

— Za jaki okres pan wypłacił Łazarence pełną stawkę?

— To nie ja, panie dyrektorze, to pan inspektor na własną odpowiedzialność kazał!

— Niech pan odpowiada na pytania.

— Za ostatnie 10 dni.

— A dawniej?

— Od sześciu miesięcy, jak tartak stoi, zawsze potrącałem! (mówi to nawet z przechwałką).

Spokojnym głosem dyrektor mówi: — Weźmie pan wszystkie listy płac wstecz, obliczy pan wszystkie potrącenia i dziś jeszcze wypłaci panu Łazarence za 6 miesięcy wstecz wszystkie potrącone pieniądze!

I tu dyrektor huknął: — A na przyszłość trzeba mieć głowę na karku, a nie bezmyślnie pracować i jakiegokolwiek polecenie pana inspektora ma być bez najmniejszego opóźnienia natychmiast wykonane! Zrozumiano!

Oczywiście, że taka sprawa natychmiast była znana przez wszystkich robotników, z najlepszą interpretacją na moją korzyść: ot, inspektor dba o robotników!

*

W lutym 1939 wystąpiłem do dyrektora z wnioskiem, by urządzić na terenie fabryki z Mikaszewicz rekolekcje dla inteligencji i misje dla robotników. Spojrzał na mnie swym mądrym spojrzeniem i powiedział: „Panie Stefanie, dziękuję panu za tę myśl! Rozmyślałem o tym nieraz, ale inicjatywy jako nie-katolik nie mogłem podjąć. Dobrze, niech pan to zorganizuje, pełne poparcie dam. Pojechałem do Pińska do biskupa Bukraby i choć rekolekcji nie udało mi się zorganizować tego roku, to uzyskałem misje oo. kapucynów.

Misje odbyły się w poście — rezultat wspaniały. Tłumy robotników przystąpiły do sakramentów świętych. Na pamiątkę stanął duży krzyż na placu kościelnym, który wieczorną marcową procesją obniesiony był po całych Mikaszewiczach.

I to wchodziło w pracę nad ludźmi, nad ich duszami, nad ich formowaniem w wierze, w uczuciach polskich, w uczuciach rodzinnych.

Wszedłem w myśli i ideologię mego przełożonego, w miarę możliwości uzupełniałem je i z siebie coś dając — i całość stanowiła ośrodek zdrowia moralnego, ośrodek pracy uszlachetnianej dobrą wolą — i pracy, która nie szła na marne.

Taką chciałyby widzieć całą Polskę! I jeśli dziś praca moja leży na innym odcinku, to jest też ona dla Polski!

I przekonany jestem, że jeśli uzyskiwać będę nadal możliwość coraz większą wpływania na bieg wypadków, dojdę do tego, by móc mieć i wpływ na formowanie Polski w jej biegu na przyszłość.

Wiem, że to uzyskam — i wiem, że stać mnie na to, by to wcielać, bo już wcielałem i wyniki konkretne osiągnąłem. To jest źródło mego jasnego spojrzenia przed siebie!

propagated socialist ideas as well as the daily praxis of the parties which propounded those ideas took into account the strong impact of Catholicism and Catholic clergy upon Polish society.

- R. WAPINSKI — The Geographical Location of Polish Lands and the Territorial Concept of Poland 299

The article comprises a review of a discussion held at the turn of the nineteenth century by Polish geographers concerning the location of the Polish lands and the ensuing various visions of the territory of the reborn state. The author is of the opinion that the presented views were connected with the political options of particular scholars; on the other hand, they influenced the stand chosen by such political leaders as Józef Piłsudski and Roman Dmowski.

MATERIALS

- J. KĘSIK — The Paper Read by Bronisław Pieracki about Political Struggle prior to the 1928 Elections 317

Bronisław Pieracki, a supporter of Piłsudski and a member of the so-called colonels' group, presented in his paper read on 15 October 1927 before a small group of politicians the strategy of the government camp. He recommended the involvement of the state apparatus into the election campaign and a harsh and ruthless struggle against political opponents.

- S. M. ROSTWOROWSKI — Reminiscences from Mikaszewicze 325

This fragment of a diary refers to the 1937—1939 period, when the author, having graduated in economy and completed army service, accepted the post of a deputy director of a large timber enterprise in Mikaszewicze, near the Soviet border (in present-day Byelorussia). Rostworowski describes the organization of production and sales, as well as the welfare department (school, medical centre, recreation centre etc.) which remained an oasis of modern solutions in the backward Eastern regions of pre-war Poland.

DISCUSSIONS

- D. ŁUKASIEWICZ — A New Biography of Tadeusz Kościuszko, or What Has Remained of Adam Skałkowski (In Connection with B. Szyn-
ler's *Tadeusz Kościuszko*, Warszawa 1991) 344

The author of the review maintains that the book under examination has presented few new sources and independent interpretations, but has thoroughly discussed the views of earlier historians, especially Adam Skałkowski, an arch-critic of Tadeusz Kościuszko. The greatest merit of the book according to D. Łukasiewicz is its distance towards the legend of Kościuszko as an excellent military commander.

REVIEWS

COMMUNIQUE

LETTERS TO THE EDITORS